Sztuczny żołnierz

Franciszek Mirandola

Zrzeszenie Literatów Polskich, Kraków, 1918

Pobrano z Wikiźródeł dnia 8 czerwca 2026

P. PICASSO

ATLECI.

FRANCISZEK MIRANDOLA.
SZTUCZNY ŻOŁNIERZ.

Major von Mumpitz mierzył marsowem spojrzeniem szereg stojących przed nim żołnierzy.

— Jak się nazywasz? — Krzyknął na pierwszego skraja.

— Protazy Kulas.

— Protas… Protes… merkwürdiger Name..: Proteus Gulyasz! Zajęcie w cywilu?

— Pisarz sądowy… Grupa C! — dodał pospiesznie.

— Ach ja… ja… no, also…

Zwrócił się do wachmistrza.

— Pisz pan… Proteus Gulyasz… zugeteilt zur Prothesenfabrik in Gross-Dumm-Dumm… Weiter!

Zwrócił się do następnego.

Protazego Kulasa oblał zimny pot. Ten nagły przydział na podstawie brzmienia jego imienia wprawił go w osłupienie. Z natury lękliwy i oryentujący się z trudem w rzeczach tego świata, doznawał przy każdej zmianie losu zawrotu głowy, głupiał całkiem. Toteż nowa sytuacya, w jakiej się znalazł, odebrała mu przytomność.

Nie wiedział co się z nim dzieje, nie słyszał nic. Popychano go, posuwano. Dał ze sobą robić wszystko.

Dopiero w wagonie przyszedł do siebie na tyle, że zaczął

rozmyślać.

Sprawa nie przedstawiała się tak źle.

Miał przydział, był „zadekowany“. O fabryce protez wiedział tylko tyle, że robią tam ręce i nogi dla inwalidów.

Jechał w przepełnionym wagonie i pogryzał suchy komiśniak.

Nagle doznał olśnienia.

Omal, że nie wybuchnął głośnym śmiechem radości.

Fabryka… wybornie… zrządzenie Opatrzności..: czyste zrządzenie Opatrzności…

Protazy Kulas, pisarz sądowy, nie był osobą zwykłą, ale skomplikowaną. Z wierzchu był pisarzem, w środku zaś genialnym wynalazcą. Posiadał w domu całe stosy cenników przeróżnych fabryk, począwszy od narzędzi wiertniczych aż do aeroplanów. Całe noce spędzał nad tą lekturą, zasmarowując libry papieru, ściągniętego z kancelaryi sądowej.

Te noce spędzane na marzeniach nieziszczalnych, to był największy skarb Protazego Kulasa, skarb skrywany starannie przed kolegami, źródło szczęśliwości i uniesień, nieznanych innym zjadaczom pensyj biurowych. W tekach starannie uporządkowane spoczywały już rozliczne wynalazki: wiertarka elektryczna dla wiercenia za ropą, wóz mogący unieść z łatwością ogromne ciężary, szczudła z popędem elektrycznym dla przekraczania rzek, gór, przepaści, kula, która nie stawiała oporu powietrzu i mogła lecieć w nieskończoność, luneta astronomiczna, która nic sobie nie robiła z mgły, chmur, itp. przeszkód, aparat do obliczania odległości najdalszych gwiazd, aeroplan bez

skrzydeł, bezpieczny wśród największej nawet burzy, jak zwykła dorożka, astroplan szybujący po przestrzeniach śródgwiezdnych, ponton płócienny do nadmuchiwania, lufa armatnia, lżejsza od cygara, a odporniejsza od stali itp. Wszystko to najdokładniej wyrysowane spoczywało w tekach w głębi olbrzymiego kufra w prywatnem mieszkaniu Kulasa w Mędzikowie.

On tymczasem służył w wojsku.

Służył spokojnie, cicho, biernie, czekając, rychło się ta zabawa skończy.

Codziennie kupował Kuryerka i czytywał pilnie wiadomości z prowincyi.

Szło mu o to, czy nie było przypadkiem w Mędzikowie pożaru, reszta go nie obchodziła wcale.

W tym nastroju ducha odprawował swą służbę, aż się doczekał początków suchot i grupy C.

Czuł się szczęśliwym, wpadał tylko w ogłupienie, ilekroć wypadło zetknąć się z władzami. Było to dlań przejście okropne. Gdy minęło, Kulas zapadał napowrót w swój zwykły stan biernej szczęśliwości.

Jechał wagonem i dumał nad zrządzeniem Opatrzności, która go oto wysyła do miasta Gross-Dumm-Dumm, do fabryki protez.

Rozważał, co on tam będzie robił, a im bardziej rozmyślał, tem większa go ogarniała radość.

— Może mi się uda ściągnąć co potrzeba do modelu mego kociołka szybkowarka! — mruknął do siebie.

Miasto Gross-Dumm-Dumm, nie zaimponowało mu wcale.

Dowiedział się tylko, że leży w Czechach, niedaleko Przybramu, gdzie są ogromne stalownie i jeszcze... że nazywa się całkiem inaczej po niemiecku, a inaczej po czesku. Ale to go nie zdziwiło. Wiedział przecież, że Saybusch znaczy tyle, co Żywiec, a Lemberg jest właściwie zwykłym Lwowem.

Gdy się znalazł w fabryce, stracił przytomność. Zgłupiał w pierwszej chwili z kretesem, jak to było zresztą jego obyczajem.

Miał wrażenie, że dostał kołem w łeb.

Otoczyło go piekło. Syczały motorowe tokarnie, wiły się węże giętkich osi przeróżnych małych i wielkich świdrów, zionęły ogniem przyrządy do samorodnego spajania, cuchnął gaz acetylenowy, dławił zagar koksu, straszyły dziwaczne kształty sztab metalowych, wreszcie ze ścian zwieszały się upiornie tysiączne nogi i ręce, pasy, podpinki, maski i inne nieopisane przedmioty.

Roiło się tu od ludzi, których mowy w pierwszej chwili nie rozumiał.

Zabłysły mu łzy w oczach, ogarnęła go rozpacz.

Marzył nieraz o fabryce, o możności wprowadzenia w czyn swych pomysłów.

Ale nie wyobrażał sobie nigdy, by fabryka była takiem piekłem.

Strach go ogarnął nagły. Nie mógł tu pozostać. Za wszelką cenę należało się ratować.

Zrobił „Stellung“ przed pierwszym spotkanym podoficerem i powiedział:

— Panie wachmistrzu! Melduję się posłusznie na front!

— Was? Co sem mluwi? Ty zwaryowana oferma! Ty na front?... Nu pójdź sem tadi!

Zaprowadził go w kąt sali, posadził na stołku i dał do ręki jakieś narzędzie, które niezwłocznie ugryzło go w dłoń, jak żmija.

— Aj! — wrzasnął przerażony i chciał rzucić narzędzie na ziemię, ale wgryzło mu się w palce i nie chciało ich puścić.

— Nie tak… nie tak! — krzyczał wachmistrz! Trzyma się za rękojeść, nie za metal! Tam jest elektryka, poparzy cię… verstanden?

W ciągu pierwszych tygodni biedny Protazy przechodził dantejskie męki. Po całych dniach musiał walczyć z narzędziami najdziwaczniejszych kształtów, a w nocy śniły mu się ręce, nogi, czaszki trupie, słowem same okropności.

Pewnego dnia zjawili się we fabryce goście. Liczne grono dam i oficerów oglądało urządzenia pracowni. Oprowadzał ich oficer Polak, którego Kulas bardzo lubił, gdyż mógł się z nim porozumieć po swojemu.

Śliczna, pachnąca, szumiąca jedwabiami blondynka stanęła tuż za Kulasem. Śmiała się wesoło i rozmawiała z towarzyszącym jej oficerem.

Rozmawiali po czesku, ale Kulas osłuchał się już trochę tego języka, tak, że rozumiał wszystko.

— Jakie to wszystko niedorzeczne… popatrz pan… Tyle tu rąk, nóg..: Bóg wie czego! Tyle to kosztuje… a przecież przydaje się na niewiele. Najpierw kaleczą ludzi bez namysłu, bez wachania, masami posyłają ich pod kule, potem zaś z największą troskliwością przyprawiają im

sztuczne członki w miejsce straconych. Musi z politowaniem spoglądać na człowieka współczesnego każdy, komu zostały wszystkie klepki w głowie… Za jakieś sto lat nikt nie będzie mógł pojąć głupoty Europejczyka z XX. w.

— Trudno proszę pani… — odparł oficer… — nie nasza wina, są widać jakieś wyższe wyroki.

— Wyższe wyroki… Głupota ludzka powołuje się zawsze na „wyższe wyroki“. Dawniej mordowano dlatego, że ktoś miał inne przekonania religijne, dzisiaj dlatego, że ktoś jest innej narodowości…

ST. WYSPIAŃSKI SYLWETKI HISTORYCZNE: ADMIRAŁ NEY.
(Ze zbiorów Włodzimierza Żuławskiego).

— No, nie tylko dlatego…

— Oczywiście… jeszcze dlatego, że stal angielska konkuruje ze stalą z Przybramu… wojna ekonomiczna… znamy się na tem, ale poco mordować ludzi? Obrzydliwe i głupie! Ale wie pan co? Mam pomysł! Pyszny pomysł! Możnaby zrobić sztucznych żołnierzy. Wie pan, żołnierzy metalowych, nieśmiertelnych!

— Szalony pomysł!

— Szalony? Dlaczegóż? Czyż auto, nie jestto sztuczny koń? A armata! Czyż nie jestto sztuczna ręka człowieka, rzucającego kamień?

— Gienialne myśli!

— Szkoda, że nie jestem mężczyzną, technikiem! Zarazbym się do tego wzięła.

— Wybornie! Niech się pani zgłosi do ministra wojny! Sława pewna!

— A przytem — trzepała dalej blondynka — wojsko, złożone z takich żołnierzy, posiadałoby prócz nieśmiertelności jeszcze inne zalety. Nie poddawałoby się, nie uciekało, słuchałoby ślepo rozkazów, nie fraternizowałoby się z rewolucyą, nie badało prawomocności swego rządu, nie tworzyło rad żołnierskich...

— Nie byłoby symulantów... — dodał oficer, rozbawiony pomysłem. — Nie trzebaby załatwiać milionów próśb o zwolnienie, niktby nie prosił o urlop...

— Co za oszczędność ubrania, trzewików, materyału wojennego...

— Nie trzebaby wcale piekarni, ani armat gulaszowych,

kas pułkowych...

— Klęska dla wielu... wielu...

— Nie piliby, nie żądali tytoniu, dodatków do żołdu... Jedną tylko straszną wadę mieliby tacy żołnierze... ogromną wadę...

— Jakąże to... Ach, wiem już wiem! — zawołała.

— Naturalnie! Nie braliby w niewolę serc niewieścich. Ot widzi pani... ta straszna wada przeważa wszystkie zalety. Przepadłby kult uniformu, kult bohaterstwa i pryczez, kult siły i głupstwa z nią najściślej skojarzonego.

— Prawda! Prawda! — potwierdziła. — To straszna wada! A więc rzucam ten pomysł. Niech przepada żołnierz sztuczny, a niech żyje żywy, choćby Bóg wie jaki kulas.

Śmiali się długo, potem zaś odeszli.

Protazy nie stracił ani słowa. Wszystko, co usłyszał, utkwiło w nim głęboko i nie mógł już odpędzić myśli o sztucznym żołnierzu.

Tejsamej nocy miał dziwny sen.

Znalazł się pośród pola bitwy. Wokół leżeli zabici. Panowała cisza i martwota. Nagle podniósł się ze ziemi człowiek i skierował się wprost tam, gdzie stał Protazy. Był to bardzo dziwny żołnierz. Nie miał na sobie munduru, a ciało jego było zupełnie przeźroczyste, tak że Protazy mógł nawskróś przez idącego widzieć pole i drzewa. Zdumiony, zaczął mu się baczniej przyglądać i zrozumiał wreszcie, że żołnierz ten zrobiony jest z cienkich sztabek metalowych. Jego ręce i nogi poruszały się w łożyskach posuwkowych, bardzo misternie obmyślanych, i stanowiły spoisty, a niezmiernie rozgałęziony system dźwigni. W miejscu

żołądka posiadał małą dynamo, wprawiającą w ruch ów system. Funkcyonowała równo z cichym jękiem, podobnym do jęku dalekiego aeroplanu. Głowa żołnierza posiadała sprężynowy zawias na karku, tak, że spadała wstecz po trafnym strzale i wracała znowu na swoje miejsce. W cienkich pazurkach rąk-protez niósł ów żołnierz mały, ale niezmiernie precyzyjny karabin maszynowy. Pas nabojów do tego karabina umieszczony w klatce piersiowej rozwijał się automatycznie. Sztuczny żołnierz wlókł u każdej nogi drut przewodu elektrycznego. Druty te sunęły po polu i ginęły w dali.

Po chwili spostrzegł Protazy, że sztuczny żołnierz nie był sam tylko jeden na polu walki. Chodził on, pochylał się ku ziemi i dotykał poległych.

I oto z ziemi zrytej pociskami zaczęli wstawać jeden za drugim, żołnierze i ustawiali się w rzędy.

Wszyscy byli jednej miary, a przez ich ciała prześwietlała dal krajobrazu.

Niebawem stanęła cała kompania w ordynku.

Jednocześnie zapaliły się na ruchomej głowie każdego maleńkie lampki elektryczne, tak, że zdawało się, iż każdy posiada po jednym błyszczącem kociem oku.

Był to znak dla sztabu, że wszystko w porządku.

Ale nie uszło to widać uwagi nieprzyjaciela. Natychmiast zabłysło w dali światło reflektora, pełzało, przez czas jakiś po polu, wreszcie znalazło dziwacznych żołnierzy i oblało ich jaskrawym blaskiem.

Rzucili się wstecz i rozsypali momentalnie w długą tyralierę. Oczy ich pogasły w jednej chwili.

Zagrzmiał wystrzał i wielki pocisk nadleciawszy ze skowytem, padł tuż przed tyralierą, wybijając w ziemi ogromny lej.

Żołnierze rzucili się sznurkiem kilkadziesiąt kroków wprzód. Skoczyli przez powietrze olbrzymim łukiem, jak potworne koniki polne.

Za chwilę rozebrzmiały ich karabiny maszynowe.

Protazy znalazł się nagle w deszczu kul. Świstały wokół niego. Przerażony padł na ziemię.

Jednocześnie uczuł w dłoni tępy ból.

Zerwał się i usiadł.

Otworzył oczy.

Siedział w łóżku. Dokoła niego chrapali towarzysze różnymi głosami.

Przez okna kasarni zaglądał świt.

Oblizywał zapamiętale stłuczoną o sztabę łóżka pięść i siedział tak napoły rozbudzony. Było szaro wokół, ale Protazemu wydało się, że świeci słońce, jak lipcowe południe, a on kroczy po jednym promieniu, niby szerokim gościńcem ku jakimś wyżynom niedosiężnym. Na prawo i lewo dostrzegł postaci pochylone w niskim ukłonie. Wszystkie dostojne, wykwintnie ubrane. Widział wyraźnie fraki, uniformy, ordery i wstęgi.

Wstępował coraz wyżej, a gdy nagle podniósł głowę, zobaczył rzecz niesłychaną.

Oto na ogromnym worze złota, niby na niezmiernym tronie siedział wśród obłoków kadzielnego dymu czarny, skrzydlaty szatan Mamon.

Oba ramiona wyciągał miłośnie ku biednemu piechurowi

i uśmiechał się łaskawie.

Protazy rzucił się z przestrachem wstecz.

Naraz rozebrzmiał śpiew chóralny i wspaniała muzyka.

Słów nie rozumiał, wiedział tylko, że każda strofa kończy się refrenem:

— Sława! Sława! Sława!

Od złota bił taki blask, oczy Mamona fascynowały tak przemożnie, refren pieśni brzmiał tak kusząco, że Protazy przemógłszy pierwotny strach, porwał się z łóżka, wyciągnął ramiona i rzucił się w uniesieniu w objęcia księcia piekieł.

Ledwo jednak krok uczynił, potknął się na własnych trzewikach i runął jak długi na sąsiada śpiącego tuż obok.

— Jezus, Marya! — krzyknął przebudzony nagle sąsiad i zerwał się.

— To nic, to nic... — uspokajał go Protazy, wracając do łóżka.

Sąsiad zaklął raz i drugi, poczem zachrapał na nowo.

Ale Protazy zasnąć nie mógł.

Ten sen zadecydował o jego życiu. Od tego dnia począwszy stał się bardziej jeszcze cichy, zadumany, skupiony w sobie.

Tygodniami nie odezwał się słowem do nikogo. Towarzysze myśleli, że zwaryował.

Ale niebawem spostrzegli, że jest to rodzaj waryacyi nietylko nieszkodliwy, ale przeciwnie, bardzo nawet dla nich sympatyczny. Protazy bowiem stał się nagle tak niezwykle pilnym, że podejmował pracę innych, ślęczał po całych dniach w pracowni, wyrabiał sobie pozwolenia pracowania poza godzinami, i byłby najchętniej noce spędzał w fabryce.

Wracając do kasarni, przynosił ze sobą całe pliki zagryzmolonego papieru i chował je troskliwie pod poduszkę.

Po kilku tygodniach uzyskał na stałe przydomek waryata, ale wytrwałością doprowadził do tego, że mu dano spokój i pozwolono pracować wedle upodobania. Żołnierz, uprzątający salę modelów, odstąpił mu nawet klucz, pod warunkiem, że obejmie jego funkcye. Protazy zamiatał salę i radował się, gdyż mógł odtąd pół nocy przepędzać w pracowni.

Razu pewnego, Protazy pracował zapamiętale, nie bacząc, co się dzieje wkoło niego.

Nagle uczuł, że czyjaś dłoń spoczęła ciężko na jego ramieniu.

— Cóż ty tutaj robisz po nocy?

Protazy krzyknął z przerażenia i porwawszy plik papierów, cisnął go pod stół.

Spojrzał na mówiącego i ochłonął nieco.

Ujrzał przed sobą oficera Polaka, dla którego powziął od pierwszego dnia wielką sympatyę.

— Nie bój się! — mówił oficer. — Nie bój się... pan — dodał po chwili. — Przeciwnie proszę mi to pokazać! Słowem ręczę, że nie zdradzę pana...

— To jest... to nic... — bąkał Protazy zmieszany.

K. SICHULSKI *W. L. JAWORSKI.*

Oficer pochylił się, podniósł papiery i zaczął przeglądać.

— Hm... — rzekł po chwili. — To jest pomysł szalony... poprostu szalony!

— Wcale nie szalony! — zaprzeczył Protazy zadraśnięty

w ambicyi. — Proszę popatrzyć i posłuchać!

Rozwijał rysunki, objaśniał, szkicował, znosił części modelu, pokryte po różnych kątach przed ciekawością kolegów i przełożonych.

Prześlęczeli obaj nad rysunkami do białego rana.

Nazajutrz Protazy blady, niewyspany, został wezwany do generała.

Poszedł jak skazaniec na szafot, wrócił, jak wraca tryumfator.

Ale chociaż go radość rozpierała, nie pisnął ani słówka i towarzysze napróżno łamali sobie głowę, coby to mogło znaczyć.

Przez całe trzy dni Protazy chodził jak pijany. Nic nie robił, zapominał salutować, łaził z kąta w kąt i śmiał się do siebie.

Wreszcie wieczorem trzeciego dnia zajechał pod fabrykę automobil z oficerami.

Wezwano Protazego.

Zabrał swoje manatki, wsiadł, uśmiechnął się jeszcze raz — i tyle go widywano w Gross-Dumm-Dumm.

Na wielkim placu, położonym na peryferyi stołecznego miasta, zjawiły się wieczorem pewnego letniego dnia automobile wojskowe. Wysiedli z nich generał i wyżsi oficerowie sztabowi. Ostatni wysiadł Protazy Kulas, przybrany w nowy mundur z odznakami sierżanta. Stanął skromnie z boku i czekał.

Po chwili nadjechało kilka samochodów ciężarowych, napełnionych jakiemiś przedmiotami, które były starannie osłonięte płachtami.

Wachmistrz prowadzący samochody zameldował się służbowo generałowi, poczem wydał rozkaz wyładowania wozów.

Po krótkim czasie stał na placu szereg dziwnych postaci, podobnych do ludzi. Były to automaty misternie wykonane z cienkich sztabek metalu, poruszane prądem elektrycznym.

W głębi placu mieściła się średnich rozmiarów szopa, a w jej wnętrzu przygotowano zawczasu przenośny motor benzynowy, poruszający instalacyę elektryczną. Poczyniono co należy i niebawem rozpoczęły się ćwiczenia.

Generał wygłaszał słowa komendy, a Protazy manipulował aparatem.

Wszystko szło przecudnie.

Za prostem pociśnięciem odpowiedniego guzika, sztuczni żołnierze wykonywali każdy żądany ruch, maszerowali, zwracali się w prawo, w lewo, padali na ziemię, kopali rowy, strzelali.

Generał był w siódmem niebie.

Raz poraz przystępował do Kulasa i ściskał mu dłoń, jakgdyby nigdy nie był generałem.

Za przykładem zwierzchnika oficerowie wyrażali swe uznanie gienialnemu wynalazcy.

— No dobrze! — rzekł generał. — A teraz komenderuję: Feuer einstellen! Auf! Laufschritt! Sturm!

Szereg żołnierzy porwał się z ziemi i sunął przed siebie galopem.

— Prachtvoll!

— Wybornie!

Rozległy się donośne okrzyki i oklaski.

Nagle — szereg stanął, karabiny spadły na ziemię, a wszyscy sztuczni żołnierze podnieśli, jak jeden mąż oba ramiona w górę.

Patrzący oniemieli ze zgrozy.

— Co to jest? — szepnął zbielałemi wargami generał.

— Co to jest? — powtórzyli inni.

— Panie Kulas... panie Kulas — Was soll das bedeuten? — spytał generał ostro.

Kulas drżał, jak w febrze. Zęby mu szczękały.

— Nie wiem... — bełkotał... — przysięgam, że nie wiem!

— Nie wiem... to nic nie znaczy! Pan musisz wiedzieć... verstanden?

— Panie Kulas! Czyś pan oszalał? — szepnął mu oficer Polak. Przyciśnijże inny guzik... no, prędko!

Nieszczęsny Protazy pocisnął guzik i nagle... padł zemdlony na ziemię.

Bo oto stała się rzecz niepojęta.

Szereg żołnierzy drgnął, opuścił ręce, ruszył naprzód biegiem i rozłamał się na kilka części.

Każdy żołnierz gnał w innym kierunku, zrywając przewody elektryczne.

Pędzili jak szaleni, jeden w prawo, drugi w lewo, najwidoczniej dając nura z pola ćwiczeń.

Za chwilę znikli wszyscy gdzieś na widnokręgu.

Generał blady jak ściana, zwrócił się do Kulasa, ale widząc, że leży bez ducha, spojrzał po oficerach.

— Was kann das bedeuten? — spytał.

Jeden ze sztabowców, szykownie ubrany, z monoklem w oku odkrząknął i rzekł:

— Aby wyświetlić sprawę, należałoby zbadać, kto robił automaty i gdzie były robione…

— Z jakiego materyału… — dodał drugi.

— Aha! — potwierdził generał. — Z jakiego materyału… Tak, tak, moi panowie, cała rzecz w tem, z jakiego materyału…

— Przeważnie z czeskiej stali, ze stalowni w Przybramie… — objaśnił inny oficer…

— Z czeskiej stali? Co pan mówisz? Tak, tak… zaczynam rozumieć… to widać już leży w naturze materyału… ano trudno… trudno..: Armer Junge! — dodał, pochylając się nad zemdlonym Protazym. — Weźcież go panowie, trzeba go odwieźć do miasta… Tak, tak, to już leży w materyale…

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Franciszek Mirandola.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Sztuczny żołnierz

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Zdzislaw
- Joanna Le
- Michalg95
- Wieralee
- Ankry
- Renamed user 49f272ea7255378813e0b1725ed02b8e
- Nawider
- CommonsDelinker
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org

2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium